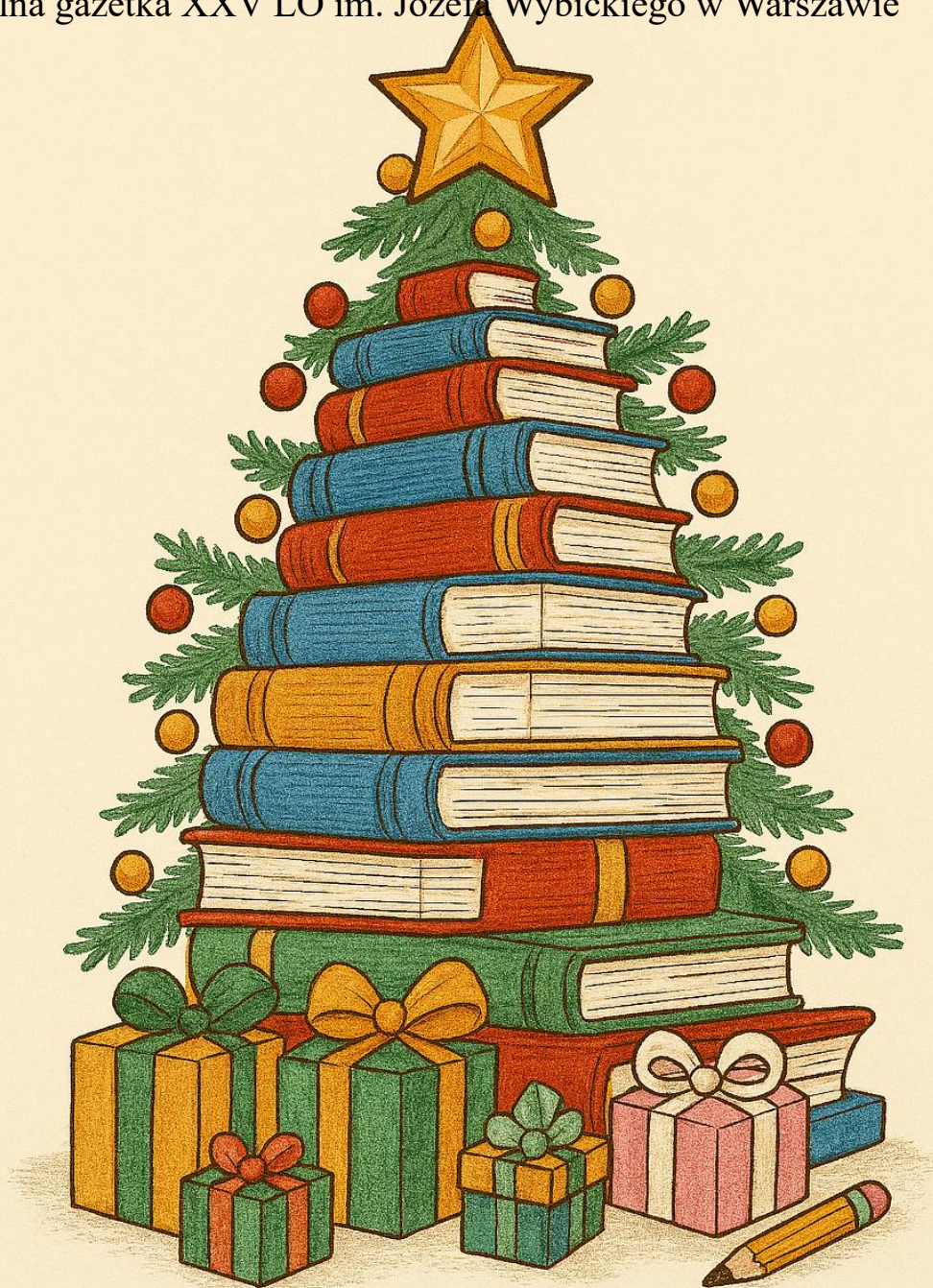


AGRAFKA

oficjalna gazetka XXV LO im. Józefa Wybickiego w Warszawie



Grudzień/ Styczeń

Od Redakcji

Wreszcie nadszedł długo wyczekiwany przez wszystkich czas – Święta Bożego Narodzenia, a wraz z nimi prezenty! To wyjątkowy okres w roku, na który czekamy z niecierpliwością. Święta to okazja do spotkań z rodziną, składania życzeń, jak i otrzymywania prezentów.

Zanim jednak rozpocznie się ten magiczny czas, zapraszamy do lektury najnowszego numeru „Agrafki”, w którym – jak zawsze – znajdziecie wiele ciekawych artykułów o tym, co działo się w naszej szkole w ostatnim czasie.

Sz szczególnie mocno polecamy wspomnienia absolwentów!



13 listopada wzruszającym programem słowno-muzycznym. Uczciliśmy 107 rocznicę odzyskania przez Polskę niepodległości. Niejednemu z nas zakręciła się łza, kiedy słuchał recytacji wiersza o Orłętach Lwowskich czy pieśni „Warszawo ma,...

Warto podkreślić, że w przedsięwzięcie zaangażowali się uczniowie ze wszystkich klas, a przy okazji odkryliśmy wiele talentów.



Wspomnienia zagranicznych podróży

20 września 2025 roku 50 uczniów z klas 3g oraz 4g wraz z czterema opiekunami wybrała się na wycieczkę do Francji na Lazurowe Wybrzeże. Po 26 godzinach podróży dojechaliśmy na miejsce.

Nasze zwiedzanie zaczęło się od Nicei. Już od rana mogliśmy zobaczyć oraz poczuć niezwykle klimat francuskiego wybrzeża. Spacerowaliśmy

wzdłuż promenady podziwiając piękne widoki oraz niepowtarzalną kulturę. Nie zabrakło również czasu na zwiedzanie i zakupy na lokalnym bazarku, gdzie można było spróbować wielu egzotycznych owoców oraz regionalnych wędlin. Udało się nam również zobaczyć port w Nicei z wzgórza zamkowego, widok zapierał dech w piersiach. Po południu mieliśmy trochę czasu wolnego na plażowanie - plaża była fantastyczna, woda ciepła, a słońce przyjemnie grzało. Wieczorem odbyliśmy jeszcze nocne zwiedzanie miasta. Dzień zakończyliśmy zakwaterowaniem w domkach – zmęczeni, ale szczęśliwi.



Drugi dzień naszej podróży po lazurowym wybrzeżu rozpoczął się wcześnie rano, gdy po śniadaniu ruszyliśmy autokarem w kierunku słynnego Saint-Tropez miasteczka, które od lat przyciąga do siebie wielu turystów. Rozpoczęliśmy od zwiedzania portu, pełnego luksusowych jachtów i urokliwych

kawiarni. Odwiedziliśmy również muzeum żandarmerii, które przybliżyło nam filmową historię kurortu. Na koniec naszego pobytu w porcie udaliśmy się na punkt widokowy, z którego

mogliśmy zobaczyć wspaniałą panoramę na całe Saint-Tropez. Na zakończenie dnia pojechaliśmy nad przepiękne jezioro, gdzie mogliśmy odpocząć oraz zrobić kilka zdjęć.

Czwartek zaczęliśmy od porannego spaceru do portu w Grimaud - malowniczego miasteczka zwanego Wenecją Lazurowego Wybrzeża.

Miejsce to ma bardzo ciekawą historię. Zakupiony przez architekta François Spoerryego w latach 60 XX wieku bagnisty teren, został zmieniony w urokliwe miasteczko



pełne kanałów i mostów, po którym możliwe jest poruszanie się łodziami elektrycznymi.

Następnym punktem naszej wycieczki była wyspa Świętej Małgorzaty, na którą popłynęliśmy promem. W XVII wieku miejsce to pełniło funkcję więzienia między innymi dla człowieka w żelaznej masce, którego tożsamości nie znamy do dziś.

Po powrocie do miasta Cannes obejrzelśmy aleję gwiazd, gdzie odcisnięta została między innymi ręka polskiego reżysera Andrzeja Wajdy.



Ostatniego dnia wycieczki z samego rana pojechaliśmy do fabryki perfum Fragonard. Założona w 1926 roku perfumeria swoją nazwę wzięła od XVIII wiecznego francuskiego malarza Jeana Honorea Fragonarda. Po zwiedzeniu muzeum i prezentacji zapachów mieliśmy okazję na zakupienie perfum. Następnym punktem było odwiedzenie położonego na górze miasta Èze. Jego wąskie uliczki i historyczne budynki zrobiły na nas duże wrażenie. Drugą połowę dnia spędziliśmy w Monako. Zobaczyliśmy tam Pałac Księcia oraz Katedrę św. Mikołaja. Po odwiedzeniu oceanarium skierowaliśmy się w stronę słynnego kasyna. Po drodze zobaczyliśmy tor Formuły Jedne i wybrzeże z portem. Po zwiedzeniu Monte-Carlo przeszliśmy do autobusu i całonocną podróż zakończyliśmy naszą wycieczkę.

Wiktoria Wegrzyn -3g

Projekt – Podróże pamięci_____

Nie masz już, nie masz w Polsce żydowskich miasteczek,

w Hrubieszowie , Karczewie, Brodach, Falenicy.

Próżno byś szukał w oknach zapalonych świeczek

„Elegia żydowskich miasteczek”

Autorem wiersza jest Antoni Słonimski, tak pisał wspominając świat, który przestał istnieć podczas drugiej wojny. Dziś, szukając świata żydowskiego, często sięgamy do tego, co nam na ten temat przekazuje historia.

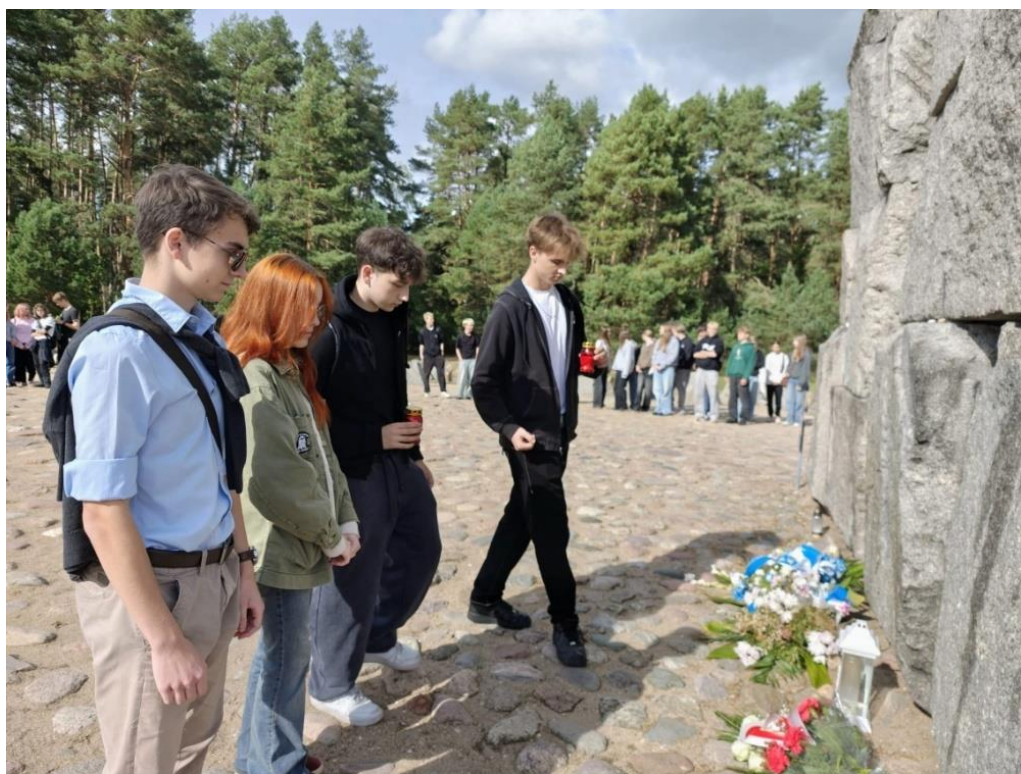
W XXV Liceum Ogólnokształcącym im. Józefa Wybickiego w sezonie jesiennym uczniowie z klas maturalnych (4a,4c,4f,4g) realizowali projekt z cyklu „Podróże Pamięci”. Celem projektu było poznanie przyczyn, przebiegu i skutków zjawisk oraz procesów historycznych prowadzących do Holocaustu.

Uczniowie z kl. 4a i 4c obejrzeli w lokalnej Kinokawiarni film „Falenicka Atlantyda”. Film pokazuje realia życia przedwojennej społeczności żydowskiej. Podwarszawska Falenica, Otwock, Karczew, Józefów były miejscowościami, w których przed wybuchem drugiej wojny były największe skupiska ludności żydowskiej na Mazowszu. Żydowscy mieszkańcy mieli tu swoje ulice, domy, sklepy, warsztaty pracy, szkoły, synagogi. Niektórzy z nich marzyli o budowie państwa żydowskiego w Palestynie, ale pragnęli zgodnie współżyć z



Polakami we wspólnym domu- Polsce. Ten świat przestał istnieć w wyniku zaplanowanej instytucjonalnie zorganizowanej i systematycznie przeprowadzonej eksterminacji sześciu milionów ludzi. Jedynym powodem ich zabicia było to, że urodzili się Żydami.

Zbrodnię Holocaustu popełnili Niemcy w czasie drugiej wojny, w okupowanej przez nich Polsce. Na jej terenie powstały niemieckie obozy koncentracyjne i obozy pracy. Po konferencji w Wannse w 1942r., część z nich przekształcono na niemieckie obozy zagłady. Należały do nich Auschwitz- Birkenau, Majdanek, Treblinka.



W Muzeum Walki i Męczeństwa w Treblince, gdzie wyjeżdżali na zajęcia edukacyjne uczniowie klas maturalnych zostały przeprowadzone wykłady i zajęcia warsztatowe. Muzealni przewodnicy przekazali młodzieży informacje o powstaniu obozu i jego działalności. Wizytę studyjną dopełniała ścieżka edukacyjna po terenie obozu. Każdy punkt na trasie ścieżki zawierał informacje historyczne oraz relacje świadków. A kamienie w Treblince mówią- symbolizują ofiary. Jedną z nich był wybitny pedagog i wychowawca dzieci i młodzieży Janusz Korczak. 11 kamieni symbolizuje kraje, skąd przywożono ofiary, 217 kamieni symbolizuje zamordowane społeczności. Treblinka to cmentarz całych społeczności żydowskich. 17000 kamieni

symbolizuje największą liczbę zamordowanych jednego dnia w Treblince.

W czasie naszego pobytu , odszukaliśmy kamienie z napisami Wawer, Falenica, Otwock, Karzew. Złożyliśmy kwiaty pod pomnikiem ofiar.

Kolejnym miejscem, do którego wyjeżdżali jesienią uczniowie był obóz zagłady na Majdanku. Tu uczniowie zwiedzali obozowe baraki, brali udział w wykładach i pogadankach prowadzonych przez muzealnych przewodników.

W październiku uczniowie z klasy 4a , pod opieką wychowawczyni i nauczycielki historii p. Agnieszki Szulc przygotowali wystawę „Sprawiedliwi z linii falenicko-otwockiej”. Wystawa przywołała pamięć o osobach, które zostały uhonorowane przez Instytut Yad Vashem w Jerozolimie tytułem Sprawiedliwych wśród Narodów Świata. Otrzymują go osoby, które z narażeniem własnego życia i swoich bliskich

bezinteresownie ocalili w czasie wojny chociaż jedno żydowskie życie. W gronie tym była Irena Sendlerowa, ksiądz Ludwik Wolski, dwie siostry zakonu elżbietanek z Otwocka i wiele innych osób. Z tematyką wystawy można było zapoznawać się indywidualnie, jak i w czasie zajęć edukacyjnych. Podsumowaniem były rozmowy z uczestnikami projektu na temat : podziałów między ludźmi, jak nie dopuszczać do narastania spirali nienawiści i wzajemnego odrzucania.

Dlaczego uczyć o Holocauście ?

Należy zauważyć, że metody wywoływania nienawiści i agresji wobec narodów, grup etnicznych i mniejszościowych są we wszystkich przypadkach podobne. Stosuje się je i dzisiaj, będą stosowane w przyszłości. Trzeba je więc znać i umieć im zapobiegać oraz się im przeciwstawić. Dla młodzieży ważne jest, aby we współczesnym świecie rozumieli mechanizmy uprzedzeń i stereotypów. Chcemy młodego człowieka nauczyć postaw tolerancji i otwartości na szeroko rozumianą odmienność

kulturową, narodową i religijną, przy poszanowaniu własnych korzeni i tradycji.



Na realizację projektu zostały pozyskane środki finansowe z budżetu m.st. Warszawy.

Projekt realizowali nauczyciele z zespołu historycznego (A. Szulc, M. Majsterek) i zespołu języka polskiego (A. Czubarowicz, E. Chmielewska, M. Piwek)

Szkolny koordynator projektu –

Marzena Majsterek

U Józefa Piłsudskiego

Wyjazd naszej klasy – 3c, do Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku okazał się czymś więcej niż zwykłą szkolną wycieczką, był żywą lekcją historii, która wciągnęła nas od pierwszych minut. Już sam teren muzeum, otoczony zielenią i historycznymi zabudowaniami, buduje atmosferę miejsca ważnego i symbolicznego. To tutaj Marszałek spędził część swojego życia, tworząc wizję przyszłej Polski.

Zwiedzanie zaczęliśmy od nowoczesnej części muzeum, gdzie multimedialna ekspozycja poprowadziła nas przez kolejne etapy życia Piłsudskiego: młodość, działalność niepodległościową, czasy Legionów i odbudowę państwa po 1918 roku. To, co robi największe wrażenie, to sposób, w jaki całość została zaaranżowana, światło, dźwięk, archiwalne nagrania i oryginalne przedmioty tworzą spójny, dynamiczny obraz epoki. Nie ma tu mowy o nudnym oglądaniu gablot. Zamiast tego czuliśmy się jak uczestnicy wydarzeń sprzed ponad stu lat.

Szczególne emocje wzbudziła część poświęcona Bitwie Warszawskiej. Interaktywna mapa działań wojennych pozwoliła nam zrozumieć, jak kluczową rolę odegrał Piłsudski w jednej z



najważniejszych bitew XX wieku. Wielu z nas było zaskoczonych skalą odpowiedzialności, jaka na nim spoczywała.

Na zakończenie przeszliśmy do odrestaurowanego dworku „Milusin”, rodzinnego domu Piłsudskiego. Jego skromność kontrastuje z ogromem wpływu, jaki Marszałek wywarł na losy Polski. Widok biurka, przy którym pracował Piłsudski, czy salonu, w którym spędzał czas z rodziną, pozwolił nam zobaczyć w nim nie tylko polityka, ale człowieka z codziennymi troskami i marzeniami.

Wyjazd do Sulejówka okazał się inspirującą podróżą w przeszłość. Wracaliśmy z poczuciem, że historia Polski staje się o wiele ciekawsza, gdy zobaczy się ją tam, gdzie naprawdę się działa.

Jan Rzepka -klasa 3c

Recenzja filmu „Dekalog I”



Film Dekalog I w reżyserii Krzysztofa Kieślowskiego to poruszająca historia o człowieku, który był racjonalistą i opierał swoje życie głównie na nauce i rozumie. Starał się zrozumieć świat tylko za pomocą faktów, odrzucając wiarę. Opowieść przedstawia losy ojca i syna, których codzienność obraca się wokół komputerowych obliczeń. Wszystko zmienia się w momencie tragedii, która sprawia, że podejście ojca, oparte wyłącznie na logice, zostaje podważone.

Film bardzo mi się podobał, ponieważ skłonił mnie do refleksji. Pokazał, że w życiu nie można kierować się wyłącznie rozumem, że są sytuacje, których nie możemy przewidzieć.

Zwróciłam też uwagę na zabiegi formalne, np. kontrasty światła i cienia, które nadawały scenom dramatyzmu i wyraźnie podkreślały emocje bohaterów. Intrygująca była także muzyka,

budująca napięcie i szczególna dramaturgię filmu.

Momentami ekranizacja wydawała mi się trochę powolna i monotonna, ale uważam, że był to celowy zabieg reżysera. Chciał on, aby widz sam zastanowił się nad znaczeniem filmu i jego przesłaniem.



Uważam, że jest to wartościowa produkcja, zarówno jeśli chodzi o temat, jak i sposób przedstawienia. Powolne i spokojne tempo, realistyczne postacie sprawiły, że w pełni mogłam poczuć ciężar codzienności i głębię moralnych dylematów, z którymi bohaterowie się zmagali.

Maja Grzybowska – 1c

Jubileusz liceum- wspomnienia absolwentów

W tym numerze kolejne odcinki wspomnień naszych absolwentów....



Maturę zdawaliśmy dokładnie 25 lat temu, w roku 2000. Minęło ćwierć wieku, a niektóre osoby i sytuacje pamiętam, jakbym dopiero wróciła ze szkoły. Wybór tego liceum i cztery lata, które tam spędziłam, bardzo mocno wpłynęły na moje życie. Choć staram się patrzeć z dystansem, o obiektywizm będzie trudno. Pewnie każdy z nas zapamiętał ten czas trochę inaczej.

W 1996 roku rozpoczęłam naukę w klasie humanistycznej. Nie znałam nikogo. Okazało się, że klasa jest mocno sfeminizowana. Mieliliśmy tylko kilku kolegów, a do matury przetrwało trzech. Każdy wyjątkowy. Naszą wychowawczynią była p. Beata Pietroń. Początkowo trudno nam było się porozumieć. Myślę, że pomogła pierwsza wycieczka do Wetliny. Nocna podróż pociągiem, noclegi na materacach na strychu u górala i wędrowki po górach. W trzeciej klasie, mimo różnic, które w tamtych czasach, dotyczyły głównie muzyki, jakiej słuchaliśmy, byliśmy zgraną ekipą.

Nasza wychowawczyni była anglistką, ale siłą rzeczy, jako klasa humanistyczna, najwięcej czasu spędzaliśmy z nauczycielami języka polskiego i historii. Chciałabym wspomnieć p. profesor Annę Piekarską, która prowadziła koło historyczne w swoim domu po drugiej stronie torów, przy herbacie i ciastkach i p. profesora Marka Szparagę, dla którego chyba byliśmy pierwszą klasą humanistyczną, jaką uczył w tej szkole. Do dzisiaj pamiętam, jak wyrzucił mnie i moją koleżankę z ławki za drzwi, bo dostałyśmy ataku śmiechu na lekcji o kolonializmie brytyjskim. Ale też, jak kilka razy podchodził do mnie w czasie matury z historii, bo widział, że wpadłam w panikę i mówił, że dam sobie radę. Wyjątkowe miejsce w moim sercu i myśli, że w historii szkoły, zajmuje nasza polonistka p. profesor Małgorzata Myślińska, dzięki której zostałam polonistką, a której cięte riposty pamiętam do dzisiaj. W ogóle nasi nauczyciele byli wymagający, ale jednocześnie traktowali nas z dużą dozą

wyrozumiałości. Pamiętam, jak p. profesor Ry-chalska strategicznie usadzała uczniów, którzy ni w ząb nie rozumieli matematyki z tymi, którzy coś „ogarniali”, a w drugim semestrze czwartej klasy, pozwoliła tym, którzy nie zdawali matury z matematyki, na lekcjach uczyć się innych przedmiotów. Chciałbym też wspomnieć WF (niezliczone przewroty w przód i w tył oraz rozmowy o życiu) z p. profesor Trza-skowską.

W szkole panowała rodzinna atmosfera. Chętni pomagali w bibliotece, na przerwach, jeżeli było ciepło, wychodziliśmy na podwórko posiedzieć, p. Basia ze szkolnego sklepiku, robiła

najlepsze kanapki za złotówkę. Nasza klasa prowadziła szkolny radiowęzeł w dawnej prze-bieralni. Z głośników w całej szkole płynął kla-syczny rock z kaset magnetofonowych.

Kiedy dowiedziałam się, że mam napi-sać ten tekst, najpierw szukałam w

pamięci faktów (kto był dyrektorem, w której sali mieliśmy polski itp.), ale potem stwierdzi-łam, że chyba nie dam rady być w spra-wie „Wybickiego” historykiem.

Starałam się więc oddać atmosferę tamtych czasów tak, jak ją pamiętam.

Monika Bąk - absolwentka

Wspomnienia w 80. rocznicę powstania liceum w Falenicy...

W latach 1967 – 71 byłam uczennicą liceum w Falenicy. To będą wspomnienia starszej pani o latach wczesnej młodości i pokażą, jak bardzo się zmienił świat i – oczywiście – życie szkoły. Choć niektóre rzeczy wyglądają podobnie.

Na ogół pierwszego września rozpoczyna się na-uka, hymn szkoły jest ciągle ten sam, uroczyste wręcza się świadectwa, zwłaszcza maturalne, przeważnie elegancko ubranym uczniom, którzy dają nauczycielom kwiaty.

A jak wyglądało życie szkoły na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych XX wieku? Nie wiecie? No to poczytajcie!

Uświadomiłam sobie, że za mojego uczniow-skiego życia nie było jubileuszu, ale za to kiedy

byłam w ostatniej klasie, szkoła przyjęła imię Józefa Wybickiego. Bezpieczne, bo kiedy zmie-nił się ustrój, nie trzeba go było zmieniać, co przydarzyło się niektórym warszawskim liceom. Nasza klasa bardzo aktywnie współorgani-zowała uroczystości, np. wykonaliśmy wystawę historii klasy i (chyba!) szkoły. Z naszej klasy była jedna z dziewcząt w poczcie sztandarowym (poczet jest do tej pory) oraz chorąży pocztu. Niestety, rok temu nagle zmarł. Nasza klasowa

koleżanka wygłosiła referat o Józefie Wybickim.

WRÓĆMY DO POCZĄTKU.

Naukę rozpoczęliśmy nie jako klasa VIII czy IX, ale jako IA. Bo byliśmy „królikami doświadczalnymi”, czyli pierwszym rocznikiem reformy. Skończyliśmy nie siedmio- ale ośmioklasową szkołę podstawową i nasza szkolna nauka trwała 12 lat. Z tego powodu aż przez dwa lata byliśmy najstarszą klasą w szkole. Wtedy klas nie było wiele, ale były liczne (np. maturę zdawały w naszej klasie 34 osoby). Poza naszą klasą była tylko jedna równoległa klasa B z angielskim.

JAK WYGLĄDAŁ PROGRAM?

Obowiązkowo wszyscy uczyli się rosyjskiego (to się nie zmieniło przez wiele lat), języka zachodniego (u nas był to niemiecki), a łacina była trzecim językiem. W drugiej klasie okazało się, że nieobowiązkowym. Ale ja uczyłam się jej do matury i dzięki temu na studiach nie musiałam chodzić na lektorat oraz zdawać z łaciny egzaminu.

Inaczej wyglądał program polskiego. Nauka zaczęła się od średniowiecza, antyk omawiano przy okazji renesansu, a Biblii wcale nie było (jeszcze przez wiele lat). Ale było więcej godzin i znacznie więcej lektur. Trzeba je było czytać, bo nie istniały streszczenia. Wyobraźcie sobie, że nie było także internetu! Obowiązkowo należało znać biografie autorów.

Matematyka była trudniejsza niż wcześniej, co przydało mi się w przyszłości – mogłam wytłumaczyć synowi, na czym polega różnica zbiorów. Koleżanka o rok starsza tego nie wiedziała! Na studiach łatwo nam było na zajęciach z logiki, a prowadząca zachwyciła się, że znamy podstawowe pojęcia logiczne. Natomiast starsi koledzy nie byli zadowoleni. Miałam nawet pochodne, całki, geometrię analityczną i rachunek prawdopodobieństwa (zgroza!).

Nie było wtedy klas sprofilowanych. Wszyscy mieli taki sam program i dopiero w ostatniej klasie zorganizowano zajęcia fakultatywne w trzech grupach. Byłam, oczywiście, w humanistycznej.

Wtedy po raz pierwszy zaczęto organizować olimpiady ze wszystkich przedmiotów, nie tylko z matematyki i fizyki. I muszę się pochwalić, że byłam finalistką olimpiady z polskiego. Szkolne eliminacje odbyły się na naszych zajęciach fakultatywnych. Warto było wtedy brać udział w olimpiadzie, bo finał zapewniał ocenę bardzo dobrą z polskiego na egzaminie na studia. Tak, tak – wtedy trzeba było poza maturą zdać egzamin na uczelnię. Ja zdawałam jeszcze historię i angielski.

ŻYCIE SZKOŁY TO BYŁA NIE TYLKO NAUKA

Szczególnie, że uczyliśmy się przez 6 dni w tygodniu, wolnych sobót nie było i lekcje kończyły się najczęściej o 13.30, prawie nigdy o 14.30, a czasem nawet o 12.30. Łatwo było

zorganizować kółko zainteresowań czy zbiorke harcerską. W szkole działała stołówka, więc głodni nie byliśmy. I na ogół mieszkaliśmy blisko – między Radością a Świdrem. Dlatego pozaszkolne życie towarzyskie też kwitło!

Dość często organizowano szkolne albo klasowe zabawy czy potańcówki (chyba ten wyraz już wychodzi z użycia!), do których przygrywał szkolny zespół muzyczny. Za naszych czasów nazywał się „Dżentelmeni”. A wcześniej zespół nazywał się – podobno – „Chuligani”. Kolega konferansjer, który był starszy i kiedyś grał w tym zespole, skomentował to tak: „My nazywaliśmy się chuligani, a zachowywaliśmy się jak dżentelmeni. Oni nazywają się dżentelmeni, więc jak się zachowują?...”

Kiedy byłam w czwartej klasie, młodszy chłopcy stworzyli dość śmieszny zespół o nazwie „Siwa Knota” – instrumenty były nietypowe – np. tarcia do prania. Stroje – o ile pamiętam – przypominały piżamy.

Raz do roku odbywał się bal przebierańców (czy powtórzyć anegdotę z Agraftki?)

Dbano o to, abyśmy byli ludźmi kulturalnymi i co miesiąc odbywał się szkolny koncert. Nie tylko słuchaliśmy muzyki czy śpiewu, ale każdy występ był poprzedzony słowami wprowadzenia. I to było ciekawe!

KINO SZPAK A NASZA EDUKACJA

Wtedy w Warszawie było 70 (tak!) kin. Przeważnie mało komfortowych. „Szpak” mieścił się w

pomieszczeniach dawnej remizy strażackiej. Podobne kino było w Radości, Aninie i kilka/kilnaście na Pradze. W epoce, gdy telewizja nie miała tylu programów i tylu godzin emisji co dzisiaj, bliskie kino było bardzo potrzebne i chętnie z niego korzystano. Kino „Szpak” współpracowało ze szkołą – na życzenie nauczycieli sprowadzano filmy i organizowano specjalne seanse. Jeden zapamiętałam szczególnie. Zmienacka zaprowadzono nas do kina. Grano film historyczny „Hrabina Cosel”, niezły, ale zaczynał się od sceny królewskiej uczty, a my byliśmy głodni i trudno było znieść, że na filmie bohaterowie jedzą pyszności. Byłam ze szkołą na wielu filmach, ale ten zapamiętałam na zawsze. Z tej formy kontaktu ze sztuką filmową korzystano jeszcze długo – aż do pojawienia się wideo (już go nie ma!), a potem dvd czy komputera. A kino też już nie istnieje!

AKADEMIE I PRZEDSTAWIENIA.

Były wpisane na stałe w szkolny terminarz. Obowiązkowo czczono Dzień Wojska (12.10), Dzień Nauczyciela (wtedy 14.10), oczywiście rocznicę WIELKIEJ REWOLUCJI PAŹDZIERNIKOWEJ (7 listopada i zawsze dużą literą), ROCZNICĘ WYZWOLENIA Warszawy (17 stycznia) i – obowiązkowo - 1 Maja. Uczniowie szli też wtedy na pochód. Ja nigdy nie byłam ze szkołą, bo maszerowałam z harcerzami.

Akademie już dzisiaj nie są organizowane. W każdym razie ja od dawna o nich nie słyszałam. Za to i wtedy, i dziś mamy przedstawienia. Sama

grałam w jednoaktówce Moliera „Pocieszne wykwintnisie” w czteroosobowej obsadzie (jeszcze dwóch starszych kolegów i jedna koleżanka). Koledzy – w przeciwieństwie do nas – nie mieli wielkiej tremy, szczególnie że słabo umieli role i improwizowali. Ale i tak to raczej oni byli gwiazdami! W ogóle szkolne akademie i przedstawienia kreowały gwiazdy – etatowego konferansjera, świetnych recytatorów czy śpiewaków. O mnie tylko jeden ze starszych kolegów powiedział: „O, to ta aktoreczka. Lubię aktoreczki, bo jestem starym zbereźnikiem!”

Zapamiętałam szczególnie akademię z okazji Dnia Nauczyciela. Chłopcy z równoległej klasy wystawili parodię „Hamleta” autorstwa Jeremiego Przybory, a Ofelię grał kolega, który pięknej dziewczyny zupełnie nie przypominał. W królową Gertrudę też wcielił się jakiś chłopak. Dziś przebieranie się za kobietę to dość ograny numer kabaretowy, ale wtedy umieraliśmy ze śmiechu.

STUDNIÓWKA

Dzisiaj jej tradycja też trwa, ale za moich czasów studniówka wyglądała nieco inaczej.

Po pierwsze kończyła się najpóźniej o godzinie 23 i zawsze odbywała się w szkole. Nigdy w lokalu! Dlatego przygotowaniem studniówki zajmowali się rodzice. Pełnili dyżury porządkowe i niektórzy bardzo przejmowali się swoją rolą. Pamiętam panią, która wtargnęła do naszej klasy (wychowawczyni dała nam klucz) i oburzona, że siedzimy tam w ciemnościach, wykrzykiwała

coś o zepsuciu moralnym „I to pod nosem kierownictwa!” Nie robiliśmy nic złego. Nie mogła przecież słyszeć, jak towarzysz studniówkowy prosi - dość kategorycznie – naszą koleżankę, aby dała to, co ma w torebce, a ona przestrzegła go: „Józek, tylko nie przesadz!”

Inne były ubrania studniówkowe, bo obowiązywały białe bluzki i ciemne (czarne, a częściej granatowe) spódnice. Większość z nas miała nowe stroje, a spódnice były midi. Wtedy zaczynała się na nie moda po królowaniu mini. O takich jak dzisiejsze strojach balowych nie było mowy!

Nie pamiętam, żeby trzeba było mieć czerwone majtki. Nb. w tamtych czasach trudno by było je kupić. Jak wiele innych rzeczy. Chyba nie było znanego dzisiaj przesądu, że między studniówką a maturą nie należy obcinać włosów. Stwierdzam, że byliśmy bardziej racjonalni i niż obecne młode pokolenia.

I pewnie przez tydzień dekorowaliśmy szkołę. Kto to dzisiaj robi! Minus był ten, że dekoracje trzeba było po zabawie rozebrać. Do ich sprzątania było mniej chętnych.

Tradycją, która przetrwała z dawnych czasów, jest rozpoczynanie balu polonezem. Na mojej studniówce był to „Polonez warszawski” Tadeusza Sygietyńskiego, znany z występów zespołu „Mazowsze”. Od wielu lat już go na żadnej studniówce nie słyszałam. Długo królowało melancholijne „Pożegnanie Ojczyzny” Ogińskiego, potem znacznie pogodniejszy polonez z filmu

„Pan Tadeusz”, a czasem polonez z serialu „Czas honoru” – piękny, ale smutny i chwilami podszyty grozą.

Dziś też się zdarza, że uczniowie urozmaicają studniówkę własnymi występami. Tak było i w naszym przypadku. Osoby z obu klas przedstawiły „Wielką naradę profesorów przed maturą”. Wcielaliśmy się w naszych nauczycieli, którzy radzą, jak tu nas dobrze przeegzaminować. Nie obyło się bez zabawnej wpadki. Kolega Maciek grający nauczyciela PO (przysposobienie obronne) zwanego Majorem, miał powiedzieć: „Ja proponuję jakiś chwyt psychologiczny”, na co „nauczyciel ZPT (zajęcie praktyczno-techniczne) wg scenariusza ripostował: „Żadnych chwytów psychologicznych tylko techniczno-mechaniczne!”. Maćka zjadł trema i nie mógł wydobyć z siebie głosu. Kiedy próbowaliśmy skłonić go do mówienia, pytając: „A co pan proponuje, panie Majorze? Może jakiś chwyt psychologiczny?”, rzucił cudzą kwestię: „Żadnych chwytów psychologicznych!”. Nie pamiętam, jak z tego wybrnęliśmy.

Nasz rocznik bawił się jeszcze na balu maturalnym. To tradycja od lat zapomniana.

MATURA

Było ciężko! Bo długo nie wiedzieliśmy, jak będzie wyglądała. Dzisiaj uczniowie muszą być o tym poinformowani dwa lata wcześniej. Wtedy nie było takiego prawa, więc musieliśmy uzbroić się w cierpliwość. Ostatecznie każdy zdawał polski, matematykę i do wyboru trzeci

przedmiot kierunkowy. W moim wypadku był to WoS (wiedza o Polsce i świecie współczesnym). W tym była historia najnowsza. Bo historii jako osobnego przedmiotu nie było. I każdy musiał zdawać także egzamin ustny. Zwolnienie z niego było czymś wyjątkowym – trzeba było w trzeciej i czwartej klasie oraz na maturze pisemnej mieć oceny bardzo dobre. A o to nie było łatwo! Strasznie bałam się matematyki, ale – o dziwo! – oba egzaminy poszły mi dobrze. I na szczęście nie wylosowałam rachunku prawdopodobieństwa! Wiedzieliśmy, jakie będą zadania na ustnej maturze, więc rozłożyliśmy je na podłodze i każdy wychodzący zaznaczał skład swojego biletu. Żeby się nie okazało, że nie umie żadnego zadania z trzech wylosowanych. Chyba podobnie było z innymi przedmiotami. Maturę dokładnie „oblaliśmy”, czyli odbyło się kilka spotkań towarzyskich z – niestety – alkoholem. Chłopcy wypili sporo i jeden z nich nad ranem nie wiedział, czy widzi jednego czy dwa psy. Ale zaraz trzeba było się zabrać do nauki przed egzaminami wstępnymi na wyższą uczelnię. Dzisiaj maturzyści mają lepiej, po maturze zaczyna się dla nich wolny czas. To duża różnica. I pewnie dłużej mogą świętować zdanie matury. Ta tradycja na pewno trwa! Właśnie sobie uświadomiłam, że w przeciwieństwie do nas swoje wyniki poznają nie od razu, ale na początku lipca. To u nas było lepsze! No i nasza matura trwała 5 godzin i podawano nam drugie śniadanie. Te 5 godzin to było sporo – kto zrobił swoje zadania, miał czas, żeby „pomóc” kolegom. Chłopak, który siedział za mną, od razu powiedział, że

jeśli coś zrobię, to mam mu pomóc. I w czasie śniadania szepnął: „Przesuń pracę na brzeg ławki”. Ja jadłam, a on przepisywał wyjątkowo długie rozwiązanie z geometrii analitycznej. I w moim roczniku wszyscy zdali egzamin pisemny. Czy dziś można ściągać na maturze? Chyba jest z tym trudniej. Chociaż matura jest, wg mnie, łatwiejsza.

I ważna różnica – współcześnie na maturze pisemnej z polskiego nie może być w komisji polonista, na matematyce matematyk itd. Wtedy polonista był z maturzystami na polskim, czyli pierwszego dnia matur, a potem już siedział w domu i sprawdzał pracę. Wyniki poznawaliśmy po tygodniu!

SZKOŁA I MODA

Tu się zmieniło sporo. Kiedy zaczynałam liceum, nosiłam, jak większość moich koleżanek, granatowy fartuszek. Wprawdzie nie z podszewki, ale fartuszek. Potem fartuchy zaczęły powoli znikać, ale strój szkolny musiał być w stonowanych barwach i –uwaga! – nie należało zakładać spodni. Wchodziły wtedy w modę, ale

nie w szkole. Walczono ze spódniczkami mini oraz długimi włosami chłopców. Dzisiaj strój i fryzura traktowane są znacznie bardziej liberalnie.

Kiedy po remoncie wycyklinowano podłogę w sali gimnastycznej, naszym obowiązkiem było wchodzić do niej wyłącznie w białych tenisówkach, a nie było łatwo je kupić. Nie pamiętam, czy obowiązywały na studniówce.

55 LAT MINEŁO

Miło wspominać swoje szkolne lata. Pewnie dlatego że byłam wtedy młoda. Jakoś żyliśmy bez telefonów komórkowych, internetu, bryków, streszczeń. Nikt do nas nie dzwonił w czasie lekcji i jakoś sobie radziliśmy bez informowania mamy, czy będziemy jedli rosół czy pomidorową (co się współcześnie zdarzyło!). Niech dzisiejsi uczniowie sami oceniają, czy mają lepiej niż my.

Małgorzata Dmochowska (z domu Miścicka)

Wspomnienie o Pani Profesor Janinie Piotrowskiej



Wspominam Ją często, choć od jej śmierci minęło wiele lat. Zanim zaczęłam pisać, długo myślałam, co mogłoby być mottem mojego tekstu. Nie miałam żad-

nych wątpliwości, ale kiedy zajrzałam do krótkiego tekstu pisanego przeze mnie na jubileusz XXV LO w Falenicy, okazało się, że już więcej niż jeden raz wykorzystałam owo istotne, wypowiedziane kiedyś przez Panią Profesor zdanie. Ale czy przez to straciło swój sens? Nie! I - moim zdaniem – doskonale określa to, co było tak ważne – choć nie wyłącznie ważne - w życiu Pani Profesor: jej praca zawodowa, uczenie polskiego z pasją i z powołaniem. Zdanie, o którym piszę, wypowiedziała do młodych koleżanek w pokoju nauczycielskim (wtedy już razem pracowałyśmy): **„Wiem, że dobrze wybrałam swój zawód. Drugi raz zrobiłabym tak samo”**.

Byłam przez cztery lata uczennicą i wychowanką Pani Janiny Piotrowskiej, potem spotykałyśmy się prywatnie, kilka lat spędziłyśmy w tym samym pokoju nauczycielskim XXV LO jako koleżanki polonistki. Mam z tych czasów wiele różnych wspomnień: czasem zabawnych, czasem wzruszających. Nie piszę hagiografii,

chcę pokazać żywego człowieka, mającego swoje słabości. Ale i tak w mojej pamięci Pani Profesor pozostanie jako osoba mądra, dobra i życzliwa. Kobieta z klasą, otwarta na świat i ludzi.

Zanim trafiłam do liceum w Falenicy, wiele słyszałam o pani Piotrowskiej od starszych kolegów. Jedna anegdota (prawdziwa) była przywoływana często. 8 marca w szkole miał się odbyć wieczorek taneczny. Dwóch uczniów, wychowanków Pani Profesor, jadło sobie obiad w falenickiej restauracji „Andżelika”. Przypadkiem spotkali tam młodego nauczyciela i - jak wieść głosi - zbratali się przy jakimś alkoholu, po czym poszli wspólnie na szkolną zabawę. Ich stanu „wskazującego na spożycie” nie dało się ukryć, wybuchła afera, nauczyciel stracił pracę, uczniom groziło relegowanie ze szkoły. Cóż, w tamtych czasach o prawach ucznia i człowieka niewiele się mówiło, dyscyplina przede wszystkim! Starsi koledzy twierdzili, że delikwentów wybroniła właśnie Pani Piotrowska. Ona sama po latach dodała do tej historii zabawną pointę: „Ja broniłam uczniów. – powiedziała- Przecież oni byli pod opieką nauczyciela!” Ta historia pokazuje – nie po raz pierwszy i ostatni – że zbłąkane owce mogły liczyć na pomoc Pani Profesor. Nie dlatego, że lekceważyła zasady i wartości. Po prostu umiała ocenić, co jest błędem młodości, lekkomyślnością, która minie z wiekiem.

Dyskretnie ujmowała się za leniwymi, którym groziła poprawka, ale nie tolerowała (przepraszam za słowo!) chamstwa. Po wielu latach, już pracując w szkole, widziałam, jak w Dniu Nauczyciela jeden z owych ocalonych przez wychowawczynię uczniów zjawił się z bukietem kwiatów. Kto wie, może dzięki niej wyszedł na ludzi.

W moim życiu Pani Profesor pojawiła się 1 września 1967, kiedy rozpoczęłam naukę w liceum. Pierwsze wspomnienie dotyczy jej wyglądu – była ubrana z taką klasyczną elegancją, w jesienne kolory. Przywołuję to wrażenie nieprzypadkowo – już zawsze postrzegałam Panią Profesor jako osobę wrażliwą na piękno, dbającą o estetykę. Nawet pracownia języka polskiego, w której odbywaliśmy większość lekcji, była całkiem sympatycznym wnętrzem, choć skromnie wyposażonym. Kiedy zaczęłam bywać w mieszkaniu Pani Profesor, to pierwsze wrażenie, że lubi otaczać się tym, co ładne, potwierdziło się. A w tamtych latach, dość powszechnej szarości i brzydoty, nie zawsze łatwo było taki efekt osiągnąć. I tu zabawne wspomnienie: już jako studentka odwiedziłam Panią Profesor i pijąc herbatę, dojrzałam na stole małej wazonik z kwiatkami, najwyraźniej sztucznymi. Do dziś pamiętam zdanie, które pojawiło się w mojej głowie: „Pani Piotrowska ma mieszkanie urządzone ze smakiem, tak elegancko się ubiera, a tu – kwiatuszki z plastyku!” Ale niektórzy ludzie mają ze sobą najwyraźniej telepatyczny kontakt. Pani Profesor musiała chyba „usłyszeć” moje myśli, bo podniosła

wazonik, dała mi do powąchania i okazało się, że to kwiatek hoi, czyli woskowca, prawdziwy, żywy, choć świetnie udający sztuczność. Sama się potem z siebie śmiałam!

Pani Piotrowska jako wychowawczyni była za nami – mam wrażenie – zawsze. Nie pamiętam wycieczki, wieczorku tanecznego, zabawy karnewałowej bez jej obecności. Bardzo dbała o to, aby nasze życie klasowe i szkolne po prostu kwitło. I pamiętam jej serdeczny śmiech, kiedy na balu przebierańców, przedstawiając naszą klasę przebraną za rodzinę, palnęłam: „A to nasza samotna kuzynka – nie mogła wyjść za mąż, więc została nauczycielką”.

Po maturze Nasza Wychowawczyni żegnała nas ze smutkiem w oczach. I życzyła, żebyśmy nie poszli drogą małej stabilizacji, ale szukali w życiu innych wartości. Sama przecież była przykładem, że to ma sens.

Pani Profesor uczyła świetnie – lekcje były ciekawe i – twierdzę to jako już dziś wieloletnia nauczycielka – bardzo dobrze przemyślane pod względem metodycznym. Krótko mówiąc, Pani Profesor wiedziała, co i jak zrobić, żeby uczeń z jej lekcji naprawdę skorzystał. I denerwowała się, kiedy okazywaliśmy się odporni na wiedzę. Bywało, że ciskała wtedy kluczami - nie w nas, na szczęście, ale o stół. Wtedy sposobem na rozładowanie napięcia mogło być odwrócenie jej uwagi przez kogoś odważnego. Pamiętam – kiedyś pani Piotrowska po sprawdzeniu naszych kiepskich wypracowań wykrzyczała, że jesteśmy nie tylko trochę leniwi (o czym wiedziała

od zawsze!), ale jacyś nienormalni i po prostu to, co przeczytała, to, to ... wtórny infantylizm! I wtedy jeden z kolegów podniósł grzecznie rękę do góry, wstał i okazując należny szacunek, spytał: „Pani Profesor, czy mogę się dowiedzieć, co to jest infantylizm?” I jakoś szczęśliwie udało się odwrócić uwagę od naszego nieuctwa i bezmyślności. Skuteczności metod dydaktycznych Pani Profesor doświadczyłam na sobie. W czwartej klasie prawie z marszu, bazując w dużej mierze na wiedzy wyniesionej z licealnych lekcji polskiego, zajęłam całkiem przyzwoite miejsce w Olimpiadzie Literatury i Języka Polskiego. Pani Piotrowski chyba była ze mnie dumna.

Rzucanie kluczami, stukanie obręczką, żeby nas uciszyć i „odlatywanie” (czasami)

myślą gdzieś daleko w czasie naszych – pewnie nudnych – odpowiedzi, to gesty, które w mojej pamięci współtworzą wizerunek naszej polonistki. Po pewnym czasie nauczyliśmy się, że kiedy pani Piotrowska pyta o coś, co właśnie przed chwilą powiedzieliśmy, nie należy się kłócić („Przecież już to mówiłem!”), ale szybko i powtórzyć. I będzie dobrze!

Chodziłam do szkoły w niełatwych czasach (w liceum przeżyliśmy wydarzenia marcowe 1968 roku) i wszyscy – nauczyciele i uczniowie – płaciliśmy rzeczywistości ideologiczną daninę: choćby w formie akademii „ku czci”. Ale

pamiętam incydent świadczący o tym, że były kwestie, które większość z nas i Nasza Polonistka widzieliśmy podobnie. Otóż po sprawdzeniu wypracowania na temat III części „Dziadów” pani Piotrowska wyraziła pewną wątpliwość: „Cytujecie w waszych pracach duże fragmenty dramatu. Czy to naprawdę możliwe, żebyście je pamiętali?” I wtedy cała chyba klasa, zgodnym chórem, spontanicznie wyrecytowała: „Nie dziw, że nas tu przeklinają,/ Wszak to już mija wiek,/ Jak z Moskwy w Polskę nasyłają/

Samych łajdaków stek”.

Pani Profesor nie odezwała się, ale jej uśmiech pod nosem mówił wszystko.

Jak mądrze i dyplomatycznie potrafiła się wtedy zachować, pokazuje inne wydarzenie. Jedna z koleżanek postanowiła swój młodzię-

czy bunt wyrazić w mało rozsądny sposób – mianowicie do wypracowania klasowego – już nie pomnę, na jaki temat – wprowadziła sądy politycznie niebezpieczne. Coś tam było o pseudo-przyjaźni ze Związkiem Radzieckim, której autorka ma dosyć. I czekała na efekt – pewnie ostrą reakcję. Kiedy dostała pracę, miała bardzo niewyraźną minę, bo na wypracowaniu nie było ani jednego czerwonego znaczka, tak jakby nikt go nie czytał. A ten wymowny (choć bez słów) komunikat można było zrozumieć na dwa sposoby: „Jesteś niemądrą dziewczynką, która nie ma pojęcia, na co się naraża, a ja nic nie wiem o



1Pani Piotrowska (pierwsza z lewej)

twoich pomysłach i nie wykorzystam tego przeciw tobie” albo: „Może jesteś prowokatorką (Mogło się wtedy zdarzyć, historia szkoły zna takie przypadki, przypis M.D.), ale ja się sprovokować nie dam”.

Czy w relacjach między nami, uczniami a naszą Wychowawczynią zawsze panowała idylla? Z pewnością nie! Mieliśmy żal, że pani Profesor nazbyt często porównuje nas z równoległą klasą B (my byliśmy klasą A). Wielokrotnie słyszeliśmy; „W tamtej klasie po tym pytaniu był las rąk”. Ten „las rąk” to była nasza zmore! Szczyt napięcia miał miejsce, kiedy byliśmy w trzeciej klasie. Pani Piotrowska była opiekunką samorządu szkolnego, podporą chyba właśnie ktoś z klasy IIIB. I dowiedzieliśmy się, że – o zgrozo! – samorząd przygotowuje na Dzień Nauczyciela podobne jak my upominki (nawiasem mówiąc, było to nasze rękodzieło). Uznaliśmy, że ktoś nas okradł z pomysłu, że może ujawniła go pani Piotrowska. I dość gwałtownie wyraziliśmy nasze żale na lekcji. Mało tego! Na tradycyjnej uroczystości z okazji Dnia Nauczyciela udało nam się przemyścić fraszkę adresowaną do Naszej Wychowawczyni. Była ona parafrazą cytatu w „Wesela” właśnie omawianego na lekcjach i brzmiała: „Pani to ino widzisz trzecią BY, a nie chcesz znać, co są MY!” Pani Piotrowska nie obraziła się na nas. Chyba udało się ją w ten sposób skłonić do refleksji. Zostaliśmy pochwaleni za wspaniały pomysł i wykonanie prezentów. Zgodę przypieczętował quiz z wiedzy o klasie, w którym wzięła udział.

Pani Profesor odeszła nagle i - w moim odczuciu - zbyt wcześnie. Przecież mogła jeszcze tyle zrobić! We wrześniu 1984 roku miałyśmy się (po moim urlopie wychowawczym) znowu spotkać w szkole, wspólnie pracować, dzielić etat języka polskiego, pić herbatę przy jednym stoliku w pokoju nauczycielskim. Już do tego nie doszło. W lipcu wraz z tłumem uczniów i absolwentów z wielu roczników i Jej kolegów nauczycieli pożegnaliśmy Panią Profesor. Przez czterdzieści lat pracy stała się dla wielu osób kimś ważnym, bliskim, autorytetem.

W 2025 roku dopisuję jeszcze jedną refleksję-wspomnienie. Dotyczy naszego ostatniego spotkania. Od 1984 roku, w którym Pani Profesor zmarła, minęło wiele lat. Jestem prawie 10 lat starsza niż ona w chwili śmierci, od dwóch lat już nie pracuję i wiele razy żegnałam bliskich, którzy odchodzili. I teraz wiem, jak ważne jest, aby mieć świadomość, że rozstaliśmy się bez gniewu i nieporozumień, że udało nam się z nimi pożegnać. Tak właśnie rozstałyśmy się z Panią Piotrowską. Przed wakacjami załatwiałam cos w szkole (byłam jeszcze na urlopie wychowawczym) i Pani Profesor odprowadziła mnie do domu. Zaproponowałam herbatę, zgodziła się i odbyłyśmy długą i – jak się okazało – ostatnią rozmowę. Opowiadała mi o niespodziewanej stracie młodszego brata. Myślę, że zdarzenie przyczyniło się do jej przedwczesnego odejścia. To było nasze pożegnanie.

Małgorzata Dmochowska (z domu Miścicka)

Wywiad z Panią Elżbietą Jankowską – profesor fizyki uczącą w latach 1976-2003

Zacznijmy od początku. Jak wspomina Pani swoje lata szkolne?

Dużo już nie pamiętam z mojego dzieciństwa. Raczej chętnie chodziłam do szkoły. Zawsze musiałam uczyć się pilnie i mieć odrobioną pracę domową. Najbardziej lubiłam matematykę.

Czy zawsze chciała zostać Pani nauczycielką? Dlaczego wybrała Pani fizykę jako przedmiot do nauczania?

Od małego chciałam zostać nauczycielką. Pamiętam, jak moja Pani dyrektor powiedziała mi, że na świecie jest już dużo matematyków, ale brakuje fizyków. To właśnie wtedy zdecydowałam się nauczać właśnie ten przedmiot.

Co uważa Pani za najważniejsze w nauczaniu?

Uczyć tak, żeby uczniowie rozumieli. Staralam się, żeby każdy w miarę możliwości rozumiał to, czego ich uczyłam.

A jak trafiła Pani do naszej szkoły?

Pracowałam przedtem w liceum dla młodzieży chorej. Najpierw były to same dziewczęta chore na gruźlicę, a później przenieśli nas do Świdra, gdzie uczyłam również chorych chłopców. W pewnym momencie szkoła zaczęła się kurczyć, ponieważ było coraz mniej zachorowań na gruźlicę. Wtedy postanowiłam poszukać szkoły dla

młodzieży zdrowej. Akurat w Falenicy był wolny etat fizyka i tam właśnie przeszłam.

Jak wspomina Pani lata nauki w naszym liceum?

Ja bardzo polubiłam tę szkołę. Jak zaczęłam pracować, grono nauczycielskie, rada pedagogiczna, byliśmy bardzo ze sobą zżyci, koleżeńscy i atmosfera była rzeczywiście w szkole bardzo dobra. Jak szłam do Falenicy, to dużo słyszałam, że jest to jedna z najlepszych szkół w Warszawie. I też tak wtedy było. Bardzo chciałam pracować w takiej szkole. Tam znalazłam swoich przyjaciół, przyjaciółki, z którymi spotykałam się poza pracą. Bardzo lubiłam swoje klasy i starałam się ich zawsze bronić. Śmieli się, że nie można dotykać mojej klasy.

Jakie cechy u uczniów Pani ceni, a jakich nie toleruje?

Trudno mi powiedzieć. Ja zawsze uważałam, że każdego ucznia trzeba nauczyć. Dawałam uczniom możliwości poprawy, przychodziłam wcześniej do pracy, aby mogli przyjść i o coś zapytać. Tylko człowiek w tym wieku, nie zawsze chętnie korzysta z takich możliwości. Młodzi nie lubią, jak ogranicza się ich wolność. Część uczniów oczywiście z tego korzystała. Ceniłam wszystkich uczniów. Oczywiście, jedni sprawiali mi większą, a niektórzy mniejszą satysfakcję. Myślę, że pomimo to, lubiłam chyba prawie wszystkich.

Czy jest coś, czego nauczyła się Pani od swoich uczniów?

Szanowania i cenięcia każdego człowieka. I tego młodego też.

Czy ma Pani jakieś wspomnienia z naszą szkołą, które najbardziej zapadły Pani w pamięć?

Wspominam, piękne wycieczki, spotkania, na których byłam z nimi. Zresztą po szkole też przez długie lata spotykałam się ze swoimi uczniami. Wydaje mi się, że przynosiło mi to zawsze taką radość, że pamiętali o mnie. Jak spotykałam ich w pociągu, na ulicy, zawsze się do mnie przyznawali. Pamiętam, jak moja klasa, miała testy z biologii, z Panią Teresą. Moi genialni chłopcy wymyślili, że osobą dobra z biologii pokazywać będzie długopisem odpowiedzi. Umówili się, jakie znaki będą na tak, a jakie na nie.

Jakie jest największe wyzwanie podczas pracy z młodzieżą?

Po pierwsze, młodzież należy kochać, ale należy też od nich wymagać. Wymagać jakiegoś porządku, dobrego zachowania. Zawsze starałam się zwracać na to uwagę. Uważam, że uczenie to też wychowanie człowieka. Tłumaczyłam moim uczniom, że muszą wyrosnąć na porządnym ludzi, że to jest bardzo ważne.

Czy tęskniła Pani za czymś po zakończeniu pracy?

Tak. Co roku mocno przeżywałam i przygotowywałam się na rozpoczęcie roku szkolnego. Przez wiele lat było mi przykro, że nie idę już do szkoły.

Ma Pani jakąś radę dla młodego pokolenia?

Żeby zawsze byli dobrymi ludźmi. Nie gonili za pieniędzmi, za jakimś ogromnym dorobkiem, bogactwem, bo to nie jest najważniejsze. Zawsze podkreślałam, że powinni zakładać rodziny, że powinni szanować tę rodzinę. Nieraz zdarzało się, że szliśmy do domu dziecka na Mikołaja lub z innej okazji, żeby zobaczyli, że każdy musi mieć swój własny dom. Uważam, że jest to dużo ważniejsze w życiu, niż jakieś wielkie bogactwa. Ja też zawsze byłam osobą wierzącą i stwierdzam, że wiara, nawet w samego siebie, pomaga żyć człowiekowi.

Bardzo się cieszę z tego, że wielu moich uczniów nadal mnie odwiedza. Zawsze się dziwię, że pamiętam ich imiona i nazwiska. To są przełom spotkania. Nauczyciel, to jest powołanie. Jeżeli człowiek będzie lubił tę szkołę, będzie lubił to, czego uczy i miał satysfakcję z tej pracy, to niech wie, że jest w dobrym miejscu. pomimo to, że dużo osób nie znam już w tej szkole, to zawsze sobie cenię, że jest to moja szkoła. Wszystkich serdecznie pozdrawiam i życzę, żeby uczniowie wychodzili z tej szkoły wspaniali, ludzie dorośli. Życzę, żeby nauczyciele mieli z was dużo satysfakcji.

Wywiad przeprowadziła Joanna Hajdacka- 3g

Szkolny konkurs literacki

Uczniowie klas trzecich i czwartych mogli wziąć udział w konkursie na napisanie ostatniego rozdziału do „Lalki” Bolesława Prusa. Nadesłanych zostało ponad 30 prac. Uczestnicy wykazali się wielką kreatywnością na temat losów Wokulskiego i Izabeli, sprawnością językową i znajomością konwencji realistycznej. Najciekawsze prace publikujemy w tym i kolejnych numerach „Agrafki”. Laureatom konkursu gratulujemy i życzymy dalszych sukcesów na niwie literackiej.

Rozdział XVIII- Epilog

Warszawa już dawno zapomniała o Wokulskim. Życie dalej płynęło swoim określonym rytmem. Ci, którzy kiedyś wypowiadali jego nazwisko z podziwem lub pogardą, teraz mówili o nowych fortunach i nowych skandalach. A jednak gdzieś, w cichych zakątkach ludzkiej pamięci, jego cień wciąż się błakał - jak wspomnienie człowieka, który próbował kochać w świecie, gdzie miłość była luksusem, a nie cnotą. Izabela z początku próbowała odmienić swoje życie. Mówiono, że wstąpiła do klasztoru, że chciała znaleźć spokój w modlitwie i ciszy. Lecz cisza okazała się dla niej zbyt głośna, a spokój - zbyt ciężki do zniesienia. Zrezygnowała po kilku miesiącach, tłumacząc, że nie ma powołania do milczenia.

Niedługo później wróciła do Warszawy i znów zaczęła żyć tak, jak zawsze chciała - otoczona bogactwem, przepychem, mężczyznami, którzy padali jej do stóp. Nic nie wskazywało na to, aby Izabela nagle



zmieniła swoje postępowanie. Po co miałaby rezygnować z krótkotrwałych przyjemności, które w jej przypadku były na wyciągnięcie ręki? Czasem siadała przy fortepianie, przesuwiała palce po klawiszach i szeptała sama do siebie:

- Czego właściwie chcę?...

Nie знаła odpowiedzi. Wtedy pojawił się Aleksander Dembowski - mężczyzna o przenikliwym spojrzeniu i głosie, który potrafił być i czuły, i drwiący zarazem. Nie kłaniał się jej z przesadą, nie przynosił kwiatów, nie mówił o jej pięknie. Zamiast tego potrafił milczeć przy niej tak, że chciała mówić więcej.

- Pani jest jak natura - powiedział kiedyś.
- myślimy, że ją znamy, ale tak naprawdę nikt nie wie, co kryje.

- A Pan? - spytała.

- Ta natura, która została zniszczona przez Wielki Potop. Bóg mści się na mnie, za grzechy, do których wstyd się przyznawać. To był pierwszy raz, gdy ktoś mówił do niej bez udawania. Od tamtej chwili zaczęła się z nim spotykać coraz częściej - w parkach, w kawiarniach, na długich spacerach po jesiennej Warszawie. Dembowski opowiadał jej o świecie, o ludziach, o tym, jak łatwo można zgubić sens, jeśli wszystko mierzy się złotem. Słuchała go z zachwytem. A gdy się śmiała, mówił, że przy niej nawet listopad wydaje się ciepły. Pewnego wieczoru, kiedy wracali z teatru, śnieg padał tak gęsty, że ledwo było widać ulicę. Izabela zmarzła, więc podał jej ramię, a ona, ku własnemu zdziwieniu, oparła głowę na jego ramieniu. Czuła, jak jego oddech miesza się z jej. Świat na chwilę ucichł.
- Niech pan nic nie mówi - szepnęła. - Po prostu idźmy.

I szli tak długo, aż zniknęły wszystkie dźwięki, ludzie i światła. Było tylko ich dwoje i cisza, w której nagle mieściło się wszystko. Ale szczęście, jak wszystko kiedyś mija.

Kilka tygodni później zobaczyła go przypadkiem - w towarzystwie młodej kobiety.

Stał przed teatrem, śmiał się, a jego dłoń spoczywała na talii tamtej. Izabela znieruchomiała. Przez chwilę chciała podejść, coś powiedzieć, może krzyknąć... ale zabrakło jej głosu. Tylko patrzyła, jak wsiadają do powozu.

Tego wieczoru coś się zmieniło w Pannie Izabeli. Skorupa, którą założyła będąc jeszcze dzieckiem, mająca na celu ukrycie wszelkich niedoskonałości, nagle pękła. Tamtej nocy nie było muzyki ani światła. Tylko echo jego śmiechu i jej łzy spadające na podłogę. Przenikający, promieniujący ból w klatce był tak intensywny, że Izabela zaczęła się zastanawiać, czy jej życie dobiega końca. Ale to była tylko miłość. Aż miłość. Po raz pierwszy w życiu zrozumiała, co znaczy zostać odrzuconym. Tak to więc czuje się człowiek, którego serce ktoś podeptał? Boże... więc Wokulski naprawdę cierpiał.

A Wokulski? Świat sądził, że nie żyje. Że wysadził zamek w Zasławiu i siebie razem z nim. Ale pewnego wieczoru, pod starym mostem kolejowym, w chłodzie i ciszy, stał mężczyzna w długim płaszczu. Patrzył na zbliżający się pociąg, jakby chciał, by przyniósł mu zapomnienie. Nie myślał już o Izabeli. Nawet nie czuł nienawiści - tylko ogromne, ciężkie zmęczenie. W kieszeni miał zegarek, ten sam, który kiedyś nosił przy sobie w sklepie. Zatrzymał się. Jakby

cały czas razem z nim. Zaciągnął się chłodnym powietrzem.

Jeszcze minuta - pomyślał. Nagle usłyszał za sobą kroki. Odwrócił się powoli. W świetle księżycy dostrzegł kobietę - szła niepewnie, ale z podniesioną głową. Miała na sobie ciemny płaszcz, włosy rozpuszczone, w oczach coś, co znał aż za dobrze - tę samą pustkę.

- Pani Wąsowska? - powiedział cicho, zdziwiony.

- A pan... naprawdę to pan?

- szepnęła. - Myślałam, że pan... zginął.

Nie odpowiedział. Spojrzał

z powrotem na tory.

- Myślałem, że nikt mnie już nie pamięta.

- Ja pamiętam. - Jej głos był spokojny, ale drżał. - Wszyscy o panu mówili. Jedni z podziwem, inni z pogardą. A ja... po prostu żałowałam, że człowiek taki jak pan musiał się tak skończyć.

- Każdy kończy tak, jak na to zasłużył.

- Nie wierzę w to. - Zrobiła krok bliżej. - Czasem los jest po prostu okrutny. Zapadła cisza. Słyszeć było tylko szum wiatru i daleki gwizd lokomotywy.

- Co pani tu robi? - zapytał po chwili. - To samo co pan. - Uśmiechnęła się słabo. - Chciałam odpocząć.

Spojrzał na nią z niedowierzaniem.

- Pani...? Przecież miała pani wszystko.

Dom, pieniądze, urodę, wolność...

- Miałam - przerwała. - Ale kiedy wszystko jest tylko dla siebie, to w końcu nie zostaje nic. Myślałam, że wiem, jak żyć. Że mogę bawić się ludźmi i uczuciami bez konsekwencji. A potem... zrozumiałam, że sama stałam się kimś, kim gardziłam. Wokulski patrzył na nią długo. Po raz pierwszy od miesięcy widział w kimś odbicie własnego

bólu - nie teatralnego, nie wymuszonego, tylko prawdziwego. Pociąg był coraz bliżej. Jego reflektor przecinał ciemność.

- Proszę odejść - powiedział cicho. - Niech pani nie stoi tutaj. - A pan?

- Ja już nie mam dokąd pójść.

Wąsowska spojrzała mu w oczy.

- Może właśnie dlatego powinien pan iść. Z kimś, kto też nie ma dokąd. Nie odpowiedział. Lokomotywa przeleciała obok nich z rykiem, aż ziemia zadrżała. Gdy przestało huczeć, stali wciąż w tym samym miejscu - oboje drżący, z osmalonymi policzkami od wiatru i pary. Po chwili Wąsowska powiedziała cicho:

- Widzi pan? Przeszło. I dalej tu jesteśmy.

Tak. - Wokulski spuścił wzrok. - Choć nie



wiem, po co. - Może żeby coś naprawić.
Choćby w sobie.

Powoli ruszyli w stronę stacji. Nie trzymali się za ręce, ale szli blisko. Jak dwoje ludzi, którzy nie szukają już miłości, tylko cichego zrozumienia.

Kilka miesięcy później widywano ich w Paryżu. Nie robili wokół siebie hałasu. Wokulski pomagał przy naukowych projektach i wspierał młodych Polaków, którzy marzyli o czymś więcej niż o tytule czy majątku. Kazimiera prowadziła małą szkołę dla polskich dziewcząt, uczyła je francuskiego, historii, ale przede wszystkim - odwagi.

Wieczorami siadali na ławce nad Sekwaną.
- Myślisz Stasiu czasem o Warszawie? - spytała któregoś dnia

- Czasem - odparł. - Ale coraz mniej. Wydaje mi się, że to był tylko sen.

- A ja myślę, że to było potrzebne, żebyśmy mogli się obudzić.

Uśmiechnął się po raz pierwszy od dawna. Nie było już w nim tej dawnej gorączki, tylko spokój. Nie taki, który przynosi

zapomnienie - raczej ten, który rodzi się po długim bólu.

A w Warszawie wszystko toczyło się dalej. Nowi bogacze zastępowali dawnych, nowe salony błyszczały, nowe serca łamały się w ciszy. Lecz czasem, wśród zgiełku ulic, ktoś wspominał nazwisko Wokulskiego - nie jak człowieka interesu, lecz jak kogoś, kto próbował połączyć marzenie z rzeczywistością.

I może w tym właśnie tkwiła tajemnica jego losu - że nie zginął z miłości, lecz nauczył się z nią żyć, choć okaleczoną i cichą. Nie był już tym samym człowiekiem, który kiedyś marzył o wielkich czynach i jednej kobiecie. Ale pozostał kimś, kto mimo bólu potrafił jeszcze spojrzeć w stronę światła. Bo są tacy ludzie, których los nie nagradza szczęściem, lecz pozwala im zrozumieć - i to zrozumienie staje się ich spokojem. A wtedy życie, choć nie takie, jakiego pragnęli, przestaje być klęską. Staje się po prostu... następnym rozdziałem.

Antonina Litwiniak -3g

Prawdziwe losy Stanisława Wokulskiego (wersja alternatywna)

Pogłoski o tragicznej śmierci w zasławskich ruinach warszawskiego handlowca, Stanisława Wokulskiego, okazały się nieprawdą. Jego przyjaciele, tacy jak Rzecki i pani Wąsowska, zresztą

nigdy nie dawali im wiary. Świetnie zdawali sobie sprawę, że Wokulski wysadził ruiny po to, aby wymazać pamięć o Izabeli Łęckiej i swej nieszczęsnej miłości do tej pustej, lalkowatej kobiety. Po kilku

tygodniach okazało się, że przeżył, ale został mocno kontuzjowany, gdyż obserwował wybuch ze zbyt bliskiej odległości. Znaleźli go miejscowi wieśniacy i zaopiekowali się nim. Na szczęście rozpoznał go doktor Szuman, który właśnie bawił w tej okolicy, zbierając miejscowe powiedzonka do układanych przez Szlangbauma szarad. Zabrał go do Warszawy, gdzie dobrzy specjaliści postawili go szybko na nogi.

Od razu też zaopiekowała się nim pani Wąsowska, która od dawna darzyła Wokulskiego uczuciem silniejszym niż zwykła towarzyska sympatia. Jednak gdy pewnego razu wyjechał z jej majątku do Warszawy i zatrzymał się w swoim dawnym mieszkaniu, sytuacja uległa nagłemu zwrotowi. Nad ranem ktoś gwałtownie zakolała do drzwi. Do domu wtargnęła grupa mężczyzn o ponurym wyglądzie, w szarych płaszczach, jakie nosili tajni agenci carskiej policji politycznej. Wokulski został aresztowany i przewieziony do Cytadeli Warszawskiej. Podczas przesłuchania okazało się, że policję interesuje, skąd miał tak duże ilości nowoczesnych materiałów wybuchowych i czy aby nie planuje kolejnych eksplozji? W dodatku śledczy świetnie wiedzieli, że kilkanaście lat wcześniej brał udział z bronią w ręku w powstaniu styczniowym. Zupełnie błędnie wiązali też jego osobę z grupą studentów, którzy za posiadanie i kolportowanie antycarskich ulotek, zostali zesłani do kopalń w azjatyckiej części Rosji. Wiedzieli z donosu złożonego przez kogoś ze znajomych Wokulskiego, że bywał w domu, w którym studenci mieszkali. Śledczy

wietrzyli wywrotowy spisek i żądali od Wokulskiego adresów i nazwisk.

Na szczęście do akcji znów wkroczyła pani Wąsowska. Wynajęła dobrych prawników, którzy starali się sprawę maksymalnie zagmatwać. Domyślała się, że materiały wybuchowe pomógł Wokulskiemu zdobyć Ochocki, będący z wykształcenia chemikiem. To właśnie za tę przysługę Wokulski przekazał znaczną kwotę na jego badania. Gdyby policja dowiedziała się o roli, jaką w tej sprawie odegrał młody naukowiec, byłby zgubiony. Ponieważ na ziemiach znajdujących się pod władzą rosyjską prawie wszystko można było załatwić za pieniądze, metodą przekupstwa, znowu o wszystkim przesądziły pieniądze pani Wąsowskiej. Odwiedziła ona oficera prowadzącego śledztwo i w czasie rozmowy zapewniła go o tym, że Wokulski jest zupełnie niewinny. Ten jednak znużonym głosem wspominał o poważnych zarzutach ciążyących na jej przyjacielu. Pani Wąsowska wyjęła wówczas z torebki paczkę zawiniętą w rządową gazetę i przesunęła ją w stronę śledczego. Oficer uchylił róg opakowania i zobaczył, że pod papierem leżało dziesięć tysięcy rubli. Uśmiechając się, nieznacznym ruchem zsunął paczkę do otwartej szuflady.

- Zapewniam panią, że zrobię, co się da, ale co na to powiedzą moi przełożeni? Jestem bezradny, nie mam żadnych poważnych argumentów! Pani Wąsowska wyjęła drugą paczkę, która za chwilę także zniknęła w szufladzie śledczego. Śledczy, gnąc się w ukłonach i zapewniając o swej życzliwości, pożegnał panią Wąsowską. Wkrótce

potem prokurator nadzorujący śledztwo dotyczące udziału Wokulskiego w rzekomym spisku, dziwnym trafem przestał drążyć sprawę, której akta schował na dnie szafy.

Wokulski został warunkowo zwolniony z więzienia, ale nie czuł się bezpieczny. Miał wrażenie, że ktoś nadal go śledzi. Choć uchodził za tak zwanego mocnego człowieka, czuł się bezradny i osaczony. Na szczęście pani Wąsowska była kobietą o silnej osobowości. Widząc, w jakim stanie znajduje się jej przyjaciel, powiedziała - Stasiu, nie jesteś tu bezpieczny! Musisz zniknąć z Warszawy. Załatwiłam ci paszport opiewający na fałszywe nazwisko i bilety na wyjazd do Paryża. Pamiętasz, kiedyś na balu u księżnej Zasławskiej gawędząc o uczciwości w relacjach międzyludzkich osłużyłeś się porównaniem z przestawieniem liter w swoim nazwisku. Nazywasz się teraz Wolkuski. Po wyjeździe do Paryża słuch o Wokulskim zaginął. Nawet pani Wąsowska miała tylko przypadkowe informacje, gdyż jej korespondencja była kontrolowana przez policję

Pewnego popołudnia w mieszkaniu państwa Mraczewskich miała miejsce dziwna rozmowa. Przypomnijmy, że dawny subiekt Mraczewski, ożenił się z panią Stawską. Został biznesmenem i wykorzystując dawne kontakty Wokulskiego prowadził intratny handel z Rosją. Przeglądając gazetę nagle powiedział do żony - kochanie, właśnie

przeczytałam, że wyruszyła ekspedycja mająca zbadać wnętrze Australii. Naukowcy liczą, że odnajdą tam złoża cennych metali. Towarzyszy im biznesmen z Europy - jakiś Stanley von Wolkusky, który współfinansuje ich ekspedycję. Czy to aby nie nasz dawny znajomy, ten, co to miał sklep na Krakowskim Przedmieściu? Wiesz, ten człowiek zawsze był niepoprawnym romantykiem żyjącym jakimiś utopijnymi ideami. Najpierw udział w tym fatalnym powstaniu, potem tak zwana praca u podstaw głosząca, że przez bogacenie się jednostek podniesie się całe społeczeństwo, potem jakieś plotki o badaniach naukowych - metalach lżejszych od powietrza i tym podobnych bzdurach, wreszcie te awantury z panną Łęcką. Udział w takiej wyprawie całkiem do niego pasuje. Jego rozmówczyni, cokolwiek zmieszana gdy usłyszała znajome nazwisko, odpowiedziała, że to niemożliwe. Przecież w gazecie jest podobne, ale jednak inne nazwisko.

Tymczasem pani Wąsowska długo czekała na jakąś wiadomość od Wokulskiego. Wreszcie sama wyjechała do Paryża. Niektórzy bywalcy salonów warszawskich mówili, że widziano ją spacerującą po Polach Elizejskich z człowiekiem zdumiewająco podobnym do Wokulskiego. Wyglądali na szczęśliwych. Czy była to jednak prawda?

Zofia Krajewska 3g

Zagadki i fenomen polskiego sportu

Jest źle, ale wydaje się, że jest dobrze? A może jednak jest dobrze, a my na to patrzymy strasznie sceptycznie? Takie pytania musimy sobie zadawać patrząc na wyniki polskiego sportu w ostatnim czasie.

Odpowiedź na nie na pewno nie będzie prosta, zastanówmy się jednak, do czego to w przyszłości prowadzi. Zacznijmy od „kopanej”. Na wiosnę nasza kadra pod kierunkiem trenera Michała Probiegiera osiągnęła dno. Nastąpił nowy selekcjoner Jan Urban i...nasi zaczęli grać lepiej. Remis z Holandią, pewne zwycięstwa z Finlandią i Litwą dały nam powody do optymizmu, wychodzimy na prostą. Poczekajmy jednak do baraży. Wtedy otrzymamy odpowiedź, czy w przyszłym roku możemy jechać do USA bez obaw o kompromitację?

Polska staje się potęgą w piłce klubowej. Tak i nie. W europejskich pucharach pniemy się coraz wyżej. W ciągu kilku sezonów awansowaliśmy z 31 pozycji na 12 w rankingu narodowym, niewiele brakuje nam do pierwszej dziesiątki. Wszystko to za sprawą dwóch-trzech ostatnich sezonów, gdzie nasze kluby grają koncertowo.

Legia, Lech, Jagiellonia i Raków na pewno nie przynoszą nam wstydu. Wszystko to dotyczy jednak tylko „najmniejszego” z pucharów: Ligi Konferencji i czasami wyższego Ligi Europy. W elitarniej Lidze Mistrzów regularnie nas nie ma. Dlatego powtarzam



pytanie: jesteśmy potęgą czy kopciuszkiem, a może gdzieś pośrodku?

Siatkówka-teoretycznie osiągamy wspaniałe wyniki, zwłaszcza kadra mężczyzn. Wygrana w Lidze Narodów, brązowy medal Mistrzostw Świata, pierwsze miejsce w rankingu FIVB, czego chcieć więcej? Niedosyt pozostaje: na Igrzyskach ubiegłorocznych łanie w meczu o złoto z Francuzami, w tegorocznych Mistrzostwach Świata łanie od triumfatorów imprezy Włochów. Warto nadmienić, że na Mundialu obfitującym w niespodzianki, meczów przeciwko wielkim rywalom Polacy mieli jak na lekarstwo, właściwie tylko jeden -z Włochami właśnie i tego egzaminu nie zdali. Zaciemnia to na pewno stan naszego posiadania i uzyskiwanych sukcesów.

Iga Świątek i cały tenis to też swoista sinusoidea. Jak ocenić sezon, w którym Polka wygrała Wimbledon i wysoki rangą turniej w Cincinnati, osiągnęła półfinał Wielkiego

Szlema w Paryżu, a jednocześnie przegrała kilkanaście spotkań ze słabszymi teoretycznie rywalkami? W dodatku nawet nie wyszła z grupy w kończącym rozgrywki turnieju Masters w Rijadzie? Nie jest łatwo odpowiedzieć na takie pytanie.

Cieszymy się wielkimi sukcesami w mniej popularnych dyscyplinach. Bartosz Zmarzlik został Mistrzem Świata na żużlu już po raz szósty i dołączył do wielkich sław tej dyscypliny: Nowozelandczyka Ivana Maugera, czy Szweda Tonego Rickardssona. Wielką klasę potwierdziła Aleksandra Mirosław, mistrzyni olimpijska z Paryża. W tym roku nie tylko wywalczyła tytuł Mistrzyni Świata, ale też ustanowiła wspaniały rekord świata. Klaudia Zwolińska, kajakarka górka, srebrna z Paryża została dwukrotną Mistrzynią Świata, co prawda w imprezie nieco słabiej obsadzonej ale...nieobecni nie mają racji.

Martwi nas za to głęboki kryzys w lekkoatletyce i tylko jeden medal na Mistrzostwach

Świata w Tokio zdobyty przez Marię Żodzik w skoku wzwyż. Jeszcze bardziej martwi brak finansowego wsparcia ze strony władz państwowych w tym Ministerstwa Sportu, dla Polskiego Komitetu Olimpijskiego. Igrzyska zimowe w Mediolanie za kilka miesięcy...jak będą przygotowani do nich nasi sportowcy?

To tylko kilka przykładów sprowadzających się do pytań: w jakim miejscu jest polski sport i jak czeka go przyszłość? Czy sukcesy Polaków są zbiegiem szczęśliwego przypadku, czy raczej tytanicznej pracy? Czy mamy zaplecze, żeby pojedyncze sukcesy przekuć na regularne triumfy w wielkich imprezach? Czy mamy programy i perspektywy dla młodych, zdolnych? Dużo tych pytań i na pewno nie od razu i nie w krótkim czasie uzyskamy na nie odpowiedzi.

Marek Szparaga -nauczyciel historii

AGRAFKA: OFICJALNA GAZETKA XXV LICEUM OGÓLNOKSZTAŁCĄCEGO IM. JÓZEFA WYBICKIEGO W WARSZAWIE

Zespół redakcyjny: Ewa Chmielewska, Marek Szparaga, Dorota Wiśniewska, Marzena Majsterek, Wiktoria Wegrzyn -3g, Zofia Krajewska 3g, Antonina Litwiniak 3g, Rzepka Jan 3c, Małgorzata Dmochowska – absolwentka i nauczycielka, Monika Bąk - absolwentka